

Stanisław Lem

„Dyktanda czyli...

**w jaki sposób wujek Staszek
wówczas Michasia - dziś Michała
- uczył pisać bez błędów.”**

tydzień pierwszy

W kałuży krwi leżał trup świeży, lecz sztywny, z wyrazem zasmucenia na twarzy, której niewiele mu zresztą zostało. Kula niezwykłego kalibru uczyniła poważne spustoszenia w jego zębach trzonowych, małżowinie oraz w mózdzku, który wyciekał teraz miarowymi kroplami na łopuchy i zeszlóroczny numer „Przyjaciółki”. Wysoko unosił się sęp, nie śmiąc jednak brać się do posiłku ze względu na obecność detektywa. Był to mężczyzna w sile wieku, w ubraniu zniekształconym dziewięcioma rewolwerami, które wypychały mu kieszenie. Na nogach miał adamaszkowe cichostępy z patentowym zatraskiem. W lewej ręce trzymał nóż, a w prawej widelec. Jego kraciasty kaszkiet miał w daszku peryskop, a fular na szyi, sporządzony z włosienicy, był bogato haftowany złotem. Jeden tylko mankament dostrzegłby baczny obserwator w postaci detektywa: był bez spodni, ponieważ na odgłos strzału wybiegł ze swej sadyby, w której spożywał właśnie barszcz z uszkami. Jak wiadomo, potrawę tę należy jeść dwoma sztucami i koniecznie bez spodni. Rozejrzawszy się, detektyw dostrzegł tajemnicze błysniecie w pobliskim stogu siana. Wyraz dogłębnej mądrości przeświecił mu lica. Kopnął trupa, który rozleciał się na kawałki, był bowiem wypchanym manekinem. Detektyw pojął wszystko, ujrawszy błysk, który powiadomił go o tym - to błyszczała porzucona igła, którą pracowicie zszyto fałszywe truchło.

Przeleciały trzy pstre przepiórzyce przez trzy pstre kamienice, poczerń zjadły pięćdziesiąt deka rzeżuchy. W tym samym czasie chrząszcz brzmiał w trzcinie. Brzmiał tak górnio i chmurnie, że nawet zadżumione makolągwy wielce się dziwowały. Pod płotem siedziała sójka i gdakała, ponieważ uczyła się obcych języków. Wtem coś huknęło w chaszczach i w dachu chałupy chyżo otwarła się charakterystyczna przestrzelina. Bór zaś szumiał, a siedzący w kucki borowik był łechtany po kapeluszu przez liczne ślimaki, które chowały się chędogo w swoich muszelkach. Rodzina złożona z sześciorga skrzatów skrzętnie krzesła ogień przy pomocy hubki i krzesiwa. Iskry padały na chrust, lecz ten opornie jeno hałaśliwie trzaskał zamiast wybuchnąć płomieniem. „Nic z tego nie będzie” - rzekł najstarszy z krasnoludów i krzesiwem przyłożył rodzinie.

Hej! Smęt leżał na grzęzawisku, a w oczeretach przy zamarzniętej jarzębinie mdlały pluskwy wodne, którym pierwszy przymrozek ścisnął zadki. Stary basior, wyczołgawszy się z nory, obwąchał tajemniczy trop i poczuł tęgą woń hippisa. Ruszył więc szparko, oblizując się na myśl o smacznych gnatach oraz gorącej jusze, która przy akompaniamencie miłego

bulgotu będzie mu się lała w trzewia. W głębi nory oczekiwała spracowanego rodzica głodna rodzina. Idąc górnym wędchem, najdoświadczeńszy z wilków przygotował garnitur swego wybornego użębienia, a też sprawdził mięsistym jęzorem czy dość ma śliny w zuchwowych gruczołach. Poprzez krzaki, chaszczce, rozłogi, kępy tataraku i zmarzniętej kostrzewy majaczyła już smakowita postać uciekiniera. Wilk sprężył się do skoku i, wydając bojowy charkot, rzucił się na ofiarę. Wówczas grom, od którego pękły mu niemal bębenki uszne, wraz z towarzyszącymi nutami diabelskiego pienia, ogłuszył go i poraził ze szczętem. Leżąc na grzbiecie, obmacując nadtłuczone żebra, godny pożałowania wilk zaledwie zdobyć się mógł na myśl, która rozświetliła sens jego porażki - ten przeklęty dryblas niósł w rękę gitarę.

Przyjaciółka moja ma maleńki mózdzek. Zbiegłszy z Giewontu, a nie zdążywszy na pociąg, ożeniła się z tarantulą. Ja zaś, przybywszy, zobaczyłem trzy wszy. Dobrze im się przypatrzywszy, kichnąłem, a następnie, wylazłszy na dach, przyglądałem się zaćmieniu słońca, używając, zamiast dymnego szkiełka, jaśka, uprzednio namaszczonego jeżynową konfiturą. Oblizawszy jaśka, poczułem, że mam zmęczone pięty, podniosłem więc wzrok ku niebu i ujrzałem spiętrzone odmęty chmur. Wtedy przeżegnawszy się i rozpostarłszy skrzydełka, śmiałym lotem wzbiłem się wzwyż, rozszczebiotany i wesoły.

Galiota płynęła pod pełnymi żaglami w przeraźliwym trzeszczeniu lin, burty i składanego noża kapitana, który z żebra niedawnego wroga strugał sobie fujarkę. Czarny sztandar korsarzy, poplamiony tłuszczem baranim, głucho łopotał na wietrze. Sternik, zmęczony abordażem, spał snem sprawiedliwego, wplówszy ręce i nogi w szprychy koła sterowego. Z przykrej gęby zwisał mu sinawy jęzor, a sternik chichotał przez sen, ponieważ igła busoli łechtala go w dolną wargę. Niedożywiony rekin, który od dziewięciu już godzin płynąc za statkiem nie mógł się doczekać trupa należnego mu na wieczerzę, puszczał przez nozdrza bańki, aż kormorany oraz (bardzo w tych okolicach nieliczne) pieczone przepiórki popuszczały w locie, podobne na tle zorzy wieczornej do wyżymaczek. Wtem pieśń luba z mostku spłynęła na fale; to kapitan wygrywał na wraźych piszczelach hymn piracki *Wyklęty powstań ludu ziemi*. Marynarze w tymże czasie oddawali się pijaństwu, iskali się, międlili len i wydobywali z za pazuchy obiekty ze wszech miar przerażające, a mianowicie broszury propagandowe. W ostatnim promieniu zachodzącego słońca dojrzał rekin biały kształt polatujący nad bałwanami. Rozdziawił paszczkę, zgryzł ową rzecz, połknął ją i jego żołądkiem zatargały torsje - oddał morzu, co był spożył. Spieniony ślad okrętu rozplynał się, a na fali płynęły chybotliwie potargane karty, na których krótkowzroczne oko wyczytać

mogłoby jedno tylko słowo: „Kapitał”

Pochodziwszy po ogrodzie, a nie doczekawszy się wampira, wracałem właśnie stępą, gdy koń mój, przysiadłszy na zadzie, zagryzłszy wędzidła i pierdnąwszy ze strachu, poniósł. Nie straciwszy zimnej krwi, wbiwszy mu ostrogi w boki, w takt jego śledziony grającej, kichnąłem, a skurczywszy nogi i nie dojadłszy wieczerzy, znalazłem się u wrót haremu, gdzie sułtan, padłszy mi do nóg, zawołał - „Pocałujta w ucho wójta!”.

Osadę otaczał częstokół. Wyjąc chrapliwie, tłum czerwonoskórych wojowników z gwoździemi w zębach czołgał się ku fosie. Zwierzchnik bladych twarzy, kosmaty kuternoga, wysawszy z dziury w zębie prymkę tytoniu, wypluł ją, charcząc: „Będziemy skalpować!”.

Lecz w tym momencie zatrzęsło się trzęsawisko, Indianie zaś, uzbrojeni w trzciniowe trzepaczki, wdarli się na palisadę. Najpotężniejszy; zwany Kurzą Dziuplą, dopadł kołtuniastego kuternogi i potężnie żującymi szczekami wgryzł mu się w rzepkę. Nieszczęsny omal nie udławił się próchnem, gdyż noga była drewniana. „Uff, uff! - wykrzyknął czerwonoskóry - Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. Wbił fajkę pokoju w ucho kuternogi i dmuchnął. Mózg, podobny do przypląszonej wieprzowiny, spłynął po cybuchu, lecz kuternoga zdążył jeszcze, wydając agonalne rżenia, obłupić ze skóry Kurzą Dziupłą, Zatechłego Bażanta, Szybką Kurzajkę oraz samego wodza plemion indiańskich, Gryzipióra. Gdy zapadł zmierzch, nastrój zmienił się idyllicznie. Na sześciu rożnach skwierczała wonna polędwica, niedobitki bladych twarzy zaś, wtykając języki w płomienie, chwytaly krople tłuszczu, którymi ociekała pieczeń rzetelnie godna spożycia po dniu tak pracowicie spędzonym.

Słaniający się słoń tłamsił trzciny, niebo zasłaniał rozcapierzonymi uszami, trąbą bębnił po żebrach, tupał, stękał aż ziemia drżała, a desperacja ta spowodowana była przez pewną pluskwę drzewną, która wyrzucona przez gąsienicę z mieszkania, osiedliła się pod jego ogonem. Słoń słońca nie widział, słoneczników nie jadł, jeno się czochrał zadem o potężne odrośle baobabów. Pewien karzełek wracający z wyjazdu służbowego dostrzegł męki olbrzyma i doznawszy litości, wykopał dół z palem zaostrozonym, do którego słoń wleciał jak niepyszny. W ten sposób powstała słonina.

Pan Szczypiorek zdjął komżę, strzepnął z tużurka gęsie pierze, miętówkę wypluł do dziecinnej spluwaczki, wyjął z szuflady bębenkowiec, włożył lufę w usta i pociągnął za spust.

Cyngiel nie drgnął, ponieważ rewolwer był z czekolady. Pan Szczypiorek, odgryzłszy lufę, pożerał ją mlaszcząc i siorbiąc, a jednocześnie wypatrywał przez lufcik sąsiada, który rozwieszał właśnie majtki na dębie. Żołędzie obstukiwały go po głowie, on zaś z otwartym szeroko dziobem piał na wszystkie strony róży wiatrów, dumny jako małżonek jednej z najpiękniejszych kur w całym hrabstwie. Tymczasem pan Szczypiorek, bekając, począł rzygać czekoladą, ponieważ z łakomstwa zżarł rewolwer wraz ze staniolem. Strzępy takowego przylepiły mu się do migdałów, wetknął więc sobie kciuk do gardzieli i wybornie ją wychędożył. Przez okno zaś wciąż donosiły się koloraturowe pienia sąsiada, którego żona, że zbyt długo opalała się na słońcu, zniosła właśnie dwa jajka na twardo.

W starym młynie skrzypiało, chrzęściło i piszczalo. Diabli młynarza brali. Pierwszy, wraziwszy mu widły w krzyże, ciągnął. Drugi, zagryzłszy młynarzową, doduszał kocura, który mu ogon nadgryzł i czoło podrapał. Czart trzeci wziął młynarza na rogi, lecz spróchniały róg trzasnął, a zmieszany diabeł musiał pomagać sobie kozikiem. Młyn szedł tymczasem turkocąc i pisku na wpół zatartych łożysk niepodobna było rozróżnić od rozpaczliwych okrzyków anioła stróża, na którego oczach duszę jego podopiecznego diabli wywlekali z opasłego kadłuba, wsparłszy się weń sześciorgiem kopyt. Tymczasem woda huczała w stawidłach, a mąka oszukańczego przemiału sypała się do worka. Nieboszczyk, widząc się w takiej opresji, rzekł: „Z tej pracy nie będzie kołaczy”. Anioł Stróż, rozsmarowawszy na policzku ostatnią łzę, zajrzał do szuflady młynarzowego biurka, machinalnie przeliczył znaleziony w niej plik „brudasów” i słysząc jeszcze potępieńcze pienia dusz do piekła wleczonych, szepnął melancholijnie: „Muszę się rozejrzeć za nowym etatem”.

Brudu brutto było pięćdziesiąt dekagramów. Brukwi brunatnej, bryndzy i buraków brakło. Burzany brązowe od słońca broczyły balsamem. Brudny brutal bronował łąkę. Barany jadły bób, bumerangi stukały w burty statków, a ból doskwierał bocianom.

Kędzierzawy drumlista napotkał w dąbrowie spoconego gąsiora, który mimo dnia niósł odkorkowaną flaszkę jarzębiaku i czał smętnie. „Gąsiorze - rzekł drumlista - wyglądasz jak upiór.” „Drumlisto - rzekł gąsior - zapach korzenny, który od ciebie wieje, świadczy o tym, że najadłeś się anyżku, jałowca oraz kwiatu orzechowego.” Tak gwarzyli czas jakiś, potem zakotłowało się na przecince leśnej i sokół, przeleciawszy nad wierzchołkami sosen, zauważył kolejno buty źle podzielowane, zelówki dziurawe, mnóstwo pierza, rozbitą flaszkę, kadłub wypatroszony, spuchnięty żołądek oraz wiele innych drobnostek na pobojowisku.

Śmiałym wirażem obniżył lot i zobaczył wtedy drumlistę spożywającego szyjkę gęsią nadziewaną buleczką i stokrotkami.

Trzymając nóż, nurek zanurzał się, a meduzy nóżkami nieznacznie łaskotały go po plecach. W głębinie zamajaczył okręt zatopiony. Nurek, stanąwszy na pokładzie, zabulgotał i widząc poprzez pęcherze powietrza muskające hełm małe rybki, rzekł sobie: „Nuże, do roboty!” Oskardem rozpruł zmurszały pokład, a wtedy dostrzegł wewnątrz kajuty, w której szkielec w mundurze kapitańskim pieszczelami obejmował zardzewiały kufer. Usunąwszy zbędnego kościotrupa, nurek ostrzem noża podważył kłódkę, a gdy wieko uniosło się, zastąpił porażony blaskiem kosztowności. Skurczone ręce wpił w sznury pereł, gdy ciemny cień odciął mu odwrót, a czarne muskularne ramię gigantycznej mątwy otoczyło go oślizgłym uściskiem. Wyrwanym zza pasa sztyletem dźgał na oślep, lecz walka była nadaremna. Ostrze wypadło z omdlałej dłoni. Ośmiornica oblizwała się, jej rogowy dziób wyszczerzony pochylał się nad bezwładnym nurkiem i w zmętniałej wodzie rozległy się odgłosy, jakie zwykle towarzyszą smacznym posiłkom. Obyło się bez obrusa. Uniósłszy się, ośmiornica odpłynęła za burtę, a w kajucie pozostał nowy świeżutki kościotrup.

Piotr przepieprzył wieprza pszenicą i dzięgielem, Anzelm natomiast, nie opuściwszy okazji, zjadł dwa talerze sparzonych flaczków, a to kręgosłup w galarecie, omlet z żółcią oraz brzuch świński podsmażany. Przyprawił pieczeń pietruszką, lecz tak przeżarł się wieprzkiem przepieprzonym, że przez pomyłkę zamiast pszenicy wrzucił do studni gomółkę. Zjedzony wieprz był smutny, nie chrząkał, nie brykał, jeno w soku żołądkowym pogrążony, czeluście jamy brzusznej powolutku zwiedzał. Kur zapiał, kiedy Piotr szynkę, ostatni ślad po świni, w spichrzu wieszał, myśląc o jutrzni i o cioci Maryni.

Móźdzek mojej przyjaciółki, jej rączki, brzuszek i nóżki pokryte są szczecinką, co do mnie - jestem tylko nieznacznie kostropaty. W dzieciństwie cierpiałem na szczękościsk, padaczkę, wodogłowie i czkawkę. Wyleczyła mnie babcia konfiturą z muchomorów, a mój braciszek, żywiący ku mnie serdeczne uczucia, do kaszki dodawał mi skwarków zagniecionych z próchnem, co mi też wyszło na zdrowie. Obecnie mam odnóża przepiękne, choć lewe jest krótsze od prawego, ale dla wyrównania prawe jest znacznie grubsze. Uszy miałem prześliczne, lecz mi je mrówki zjadły. Co do nosa, gdyby nie pewien puchacz, który go wziął za dżdżownicę, byłby iście rzymski. Moja przyjaciółka powiada, że kiedy jem żur, wydaję tętent stada bawołów. Podług mnie nie ma racji. Zważywszy wszystko, rzecz mogę, że

zmyślny ze mnie jaszczur.

Wentylator pękł z trzaskiem, trzasnął też wał korbowy. Rozleciała się karoseria, w skrzynce biegów kocięta uciekały przed szczurem. Wskutek bezkrólewia zabrakło benzyny, a chartom wrzody rzuciły się na grzbiety szczególnie. Drużyny strzeleckie zażerały się szparagami. Kuśnierz na przyzbie powiedział do wuja: „Uważaj, bo uśniesz.” Wuj - tokarz rzekł: „Orzeczenie ciekawe, istny orzech do zgryzienia.” Brzydka brytfanna cuchnęła stęchlizną. Nagmiotek ciotki spuchł, więc okładała go łopuchem, a kiedy skołała, oblaliśmy truchło terpentyną i wyglancowaliśmy nim podłogę. Tymczasem nadeszła jesień, głóg poczerwieniał od przymrozków, trupy na cmentarzu szczękały zębami, a kuropatwy jak zwykle o tej porze grały w „cetno i lichy”. Na Boże Narodzenie zamiast śniegu spadły złociste guzy, z których babcia zrobiła farsz do uszek w barszczu. Mój wyszczerbiony miecz zakopałem na rozstaju, a widząc, że źle z ortografią, zacząłem grać w lajkonika.

Eskimosi, znakomici rybołowcy, zamiast wężycerzy używają widelców. Hodują oni reny, które żywią opiłkami żelaznymi, z czego wielki pożytek, gdyż doją gwoździe. Ze względu na mróz nie myją się wcale, a także nigdy się nie rozbierają. Odzież ich składa się z futrzanych gaci, kozuchów, nauszników, a krótkowzroczni Eskimosi noszą futrzane okulary. Gdy zawierają małżeństwa, zdarza się, że podczas nocy polarnej dochodzi do nieporozumień. Znany jest wypadek pewnego Eskimosa, który dopiero po dwudziestoletnim małżeństwie zorientował się, że jego żona jest obcym mężczyzną. Toaleta Eskimosów polega na smarowaniu twarzy i uszów tłuszczem wieloryba. Mieszkania ich są pełne lodu, z którego umieją wyplatać kosze. Z nadejściem wiosny Eskimosi zlizują z siebie lód, ci zaś, którzy mają łaskotki, zaśmiewają się przy tym do upadłego.

W roku bieżącym odbyło się bierzmowanie, ponadto zasialiśmy kukurydzę, karczochy, pietruszkę oraz żyto, z którego pędzimy bimber. Gorzelnię mamy w piwnicy, wódka śmierdzi, ale pić się daje. Zasadziliśmy też leszczynę, ponieważ jej wzrost jest prędko. My, rolnicy, ubóstwiamy pogodę. Zimą nosimy kozuchy, a latem wielbłądzie swetry. Używamy pługa, brony, młodą kalarepkę posypujemy tłuczonym szkłem, a na gruszkach szczepimy makuchy. Gdy słonina wszędzie, trzeba krowie dójki nią wysmarować. Ostatnio zbiory zapowiadają się pięknie, ale na ozimie rzuciła się milicja i proso oraz kaszę hreczaną diabli wzięli.

Najszlachetniejszym spośród kręgowców jest padalec. Żywi się on jajeczną. Niektóre padalce mają nogi, ale tak małe, że niedostrzegalne gołym okiem. Padalec zamierzający przepłynąć ocean kuca na plaży i koncentracją woli powoduje wyrośnięcie na grzbiecie masztów i żagli. Istnieją padalce o takiej sile charakteru, że doprowadzają do przemiany kiszek w silniki odrzutowe. Jak wiadomo, padalce nie szybują w przestworzach, ponieważ im na tym nie zależy. Słuch mają tak bystry, że słyszą dźwięki na kilka godzin przed ich rozlegnięciem się. Wzrok padalca jest zabójczy dla skorpionów i małży. Pewne szczepy indiańskie wykorzystywały przenikliwy wzrok padalców do wiercenia dziur w deskach. Padalec brzydzi się ludźmi, lecz chętnie zjada małpy oraz starszych chłopców robiących błędy ortograficzne.

tydzień drugi

W lesie żyją grzyby. Grzyb różni się od żyrafy tym, że nie nosi skarpetek. Zwykle grzyby mają kapelusze, natomiast grzyby wieczorowe używają cylindrów. Śnięte ryby spożywają mało grzybów, lecz ulubioną ich potrawą jest grochówka. Istnieją grzyby podwodne, oddychające skrzelami, które dzięki doskonałemu przystosowaniu upodobniły się do szczupaków i karpia tak, że są od nich nieodróżnialne. Zupa grzybowa z takiego szczupaka uchodzi za zupę rybną. W lesie żyje ponadto dzika cebula, a także cebulki włosowe osób, które wędrują po lesie, pohukując. Pohukiwanie tak wstrząsa wędrowcami, że sypie się z nich łupież. Nie jest jednak prawdą, jakoby poszycie leśne składało się z samego łupieżu. Latający grzyb, pospolicie nazywany krogulcem, zamiast skrzydeł używa chustek do nosa gubionych przez osoby roztargnione. Najokrutniejszy z grzybów jest rydz ludojad, który podstawił nogę pobożnym staruszkom, a potem zjada je bez soli.

Królem zwierząt jest tchórz, także śmierdzielem zwany. Żadnemu zwierzęciu w dżungli nie ustępuje z drogi, lecz widząc przeciwnika, bohatersko tył nadstawia, na muszkę bierze i razi. Stare słonie tak są wrażliwe na śmierdziela, że go błagają na klęczkach, aby przestał. Pyton oraz boa dusiciel smród dobrze znoszą, ponieważ na widok cuchnącego króla puszczy nosy sobie zatykają winniczkami. Czasem jednak potężne tęchliny przemagają, a wąż, jęty szalem, sam się kąsa i od jadu umiera. Tylko ludzie chodzący w gumiakach są na tchórze niewrażliwi. Żona śmierdziela rzadko używa perfum oraz służby domowej. W kwestii, czym się śmierdziele żywią, nauka milczy. Znany jest tylko ich nałóg spożywania ogórków kiszonych z chałwą. Zauważywszy śmierdziela, należy albo uciekać, albo śmierdzieć jak tylko się da. Osoby krzepkie, rozwinięte i zuchwałe w pojedynkach takich nieraz zwyciężają króla puszczy.

Dentysta wyrywa zęby obcęgi, a na ich miejsce wstawia, co się pod rękę nawinie. Domów dentyści nie miewają, mieszkają w starych wyliniałych szafach z przegródkami. W każdej przegródce znajdują się bambusy długie i krótkie, dno szafy wyścielone jest zeschniętym burzanem. Dentyści chorują czasem na tyfus, niektórzy natomiast mają platfus. Rzadko jeżdżą konno. Dłubanie w nosie, rybołówstwo, kłusownictwo, gra na drumli jako też sekretne odcinanie uszu pacjentom niepłacącym rachunków za zęby plombowane, należą do ulubionych zajęć dentyistów. Polują rzadko, lecz znalazłszy się wśród zwierzyny, duszą ją gołymi rękami.

Był sobie raz chłopiec niegrzeczny, który się uczyć nie chciał, ponadto odznaczał się umysłowym lenistwem i żołądkową przedsiębiorczością. Ile razy na obiad się spóźnił, nowe przedstawiał usprawiedliwienie. Stwórca, zdenerwowany tak niewłaściwym postępowaniem, uczynił cud, mocą którego wszystkie życzenia owego chłopca się spełniły. Z powodu epidemii trądu wszystkie szkoły zamknięto. Potop nastąpił i cała ziemia zalana obróciła się w jeden basen kąpielowy. A że w wodzie pływało dużo produktów żywnościowych, mógł chłopiec zażerać się nieustannie. Jakże jednak marzył teraz o tym, aby osuszyć się, pójść do szkoły i nie jeść już węgorzy, pstrągów, mokrego chleba oraz jajek albatrosów. Lecz Bóg nierychliwy trzymał go w tych trudnych warunkach przez lat dziewięćdziesiąt. Dopiero starcem będąc, silnie pokręconym od reumatyzmu, podpierając się siwą brodą, chłopiec wylazł na brzeg, na którym ujrzał grób dla siebie przyszykowany.

Żar słoneczny dogasał. Gorąco było, że żał się Boże. Jurek, któremu pryszczę się na twarzy rzuciły, rzodkwią je nacierał. Z workiem pełnym żelaza przeszedł żebrak, a za nim rzeźnik, rzekomo przez policję poszukiwany. Surdut miał dziurawy jak rzeszoto. W rynsztoku zmija na żółwiu siedziała i jadła bułkę z żółtkiem. Huknęło, z gospody wybiegł przodownik pracy i rzygnął. Na murze ktoś napisał „Nasz rząd nierządem stoi”. Ryży pudel z rzadką sierścią, zjeżywszy się, warczał na trzmiela, który go użądlił.

Wątróbka z cebulką krótko smażona, byle nie gorzka od żółci, jest zakąską doskonałą. Aby ją przyrządzić, należy kupić samochód i pędzić nim poty, aż się kogoś przejedzie. Wątróbkę, nieboszczykowi niepotrzebną, z wnętrzości wyjmujemy i wkładamy do lodówki. Trupa wyrzucamy lub stawiamy w zbożu jako stracha na wróble. Z wątróbki osób starszych tylko pasztet się udaje, ponieważ jest łykowata. Najlepsze są wątróbki młodych chłopców jeżdżących zwykle na rowerze. Najwygodniej dopaść takiego, który nie ma hamulców ani bieźnika. Wątróbki tak zdobytej nie rzuca się na wrzący tłuszcz, lecz splukuje kwaskiem, a mając na podorędziu bułkę, z mózdzka wyrabia się farsz. Dobry jest też chłopiec na zimno w galarecie (z chrzanem). Trzeba go tylko dobrze oskrobać, aby nie zgrzytał w zębach. Są kucharze zalecający nerkówkę, lecz bywa ciężkostrawna. Małe dzieci wolno spożywać tylko w dni postu.

W same żniwa żyto zgorzało. Żandarmi, żądni żartów, żegnali się przed kościołem. Ksiądz proboszcz, włazłszy na żerdź, choć silnie tym zażenowany, zarządził, aby do żłobu

rzepak sypano. Akurat deszcz rzęsisty zaczął padać, zmokły rzeźby przy kościele. Staw, porośnięty żółtą rzęsą, odbijał małe chmurki. Żniwiarze, przechodząc koło kościoła, zaciągali rzemienie na brzuchu. Księdzu na żerdzi zrzędła mina i spadł na podwórzec, spadł na podwórzec jak żołędź z dębu.

Pewien drapichrust, który był sierotą, a jednocześnie handlarzem, zapuściwszy sobie brodę, ożenił się z kucharką, której specjalnością było ciasto francuskie. W rocznicę ślubu żona podała na obiad zupę ogórkową, gulasz z karczochami, kaszę hreczaną, a na deser renklody w cieście francuskim. Ciasto było zakalcowate. Wieczorem, zakopawszy żonę tam gdzie uprzednio odbył się pochówek ciasta, zbrodniarz pojął, że zamiast wstępować w związek małżeński, należało kupić książkę kucharską. Niestety, wścibscy sąsiedzi spowodowali śledztwo. Sześciu detektywów, wykrywszy ślady zbrodni, puściło się tropem żonobójcy. Przez czas jakiś ukrywał się w szuwarach, wykradając kaczkom jajka, lecz dzięki policyjnym chartom, które na niego poszczuli, detektywi okrążyli go. Zbrodniarz, wykazując wiele hartu, bohatercko się bronił, lecz uległ przemocy. Usprawiedliwień jego sąd nie uwzględnił. „Zadyndasz o świecie” - rzekł sędzia. Rutynowany kat przygotował szubienicę, a łój barani posłużył do namaszczenia stryka. Skazaniec wyprowadzany z celi, widząc tak starannie wszystko przygotowane, westchnął: „Potrzeba mi było tego ciasta.”

Z głuchym bulgotem statek poszedł na dno. Pasażerowie, których nie pożarły rekiny, wylazszy na brzeg skalisty, skonstatowali, że są na wyspie bezludnej. Niebawem głód skreślił im wnętrzności. Czas jakiś powstrzymywały ich względy moralne, więc tylko się oblizywali, patrząc na połędwice kolegów (co prawda o zmierzchu ktoś nadgryzł małżowinę chłopca okrętowego). Palmy kokosowe dźwigały wiele orzechów, lecz nikt nie umiał na nie wleźć. Kapitan polecił ściąć palmę, co też uczyniono. Orzechy przedłużyły im życie na krótko. Żywili się gąsienicami, pajęczkami, gruczołkami, sznycelkami, a gdy ich zabrakło, znów jęli spode łba patrzeć na cudze szynki. Po roku na wyspie było pusto. Nie wiadomo, co się stało z ostatnim rozbitkiem. Szkuner, który przybił do wyspy, odnalazł tylko przygarść wykałaczek. Przypuszczano, że rozbitek ostatni zjadł sam siebie. Zastanawiające, że spożył się na surowo i bez soli.

Ponad zręby, ponad grzędy chodził tędy i owędy. Dłubał w nosie, robił zdjęcia w poczekalni u Papieża. Siedział kurek pośród biurek, obok niego piesek Burek. Piesek Burek miał sześć córek, szedł na wzgórek z rojem kurek. W dziupli znajdowała się filharmonia.

Dyrygent w smokingu stroił wiolonczelę. Puzon się zatkał. Skrzypek, dobywszy bębenkowca, przestrzelił oba talerze i bęben. Basista grał na fujarce, ponieważ pękły mu struny. Pewna wróżka obok łóżka, patrzy, widzi, leży gruszka. Urząd finansowy jest to organ administracji, którego zadaniem jest udój obywateli. Eksperyment w zjadaniu kukurydzy polega na smarowaniu jej miodkiem. Huragan zmiotł liście z drzew. Między klęcznikiem a podręcznikiem jest taka sama różnica, jak między wodą i podwodą.

Ospa wietrzna nie jest wieczna. Kapelusz ma gumkę, na której można się powiesić. Zjadłszy obiad, wieloryb udaje się do podwodnej wygódki. Śledziona rekina bywa silnie zanieczyszczona aktami personalnymi marynarzy. Perłopław przemyca klejnoty z dna morskiego na rynki zagraniczne. Kurzawa, zasypując oazę, okropnie szuści. Pięć aut wpadło do rowu, a szóste zatrzymało się na wierzbie. Kawior należy jeść brudnym widelcem. Królewęża i panięża były plagą Rzeczypospolitej. Kałamarz wypełniony olejem źle służy ortografii.

Podkuwanie koni wymaga użycia szczoteczki do zębów, pierza, czerwonych piórek oraz miękkiej skórki lub bandaża. Bandażem obwiązuje się koniowi oczy. Pierze zjada się dla polepszenia humoru. Łaskocząc żołądek, przyprawia ono o śmiech. Czerwone piórko należy sobie wetknąć gdziekolwiek. Wziąwszy konia za uzdę, prowadzi się go do kowala, który zrobi, co należy. Wróciwszy z koniem do domu, należy skórka przetrzeć okulary i odprowadziwszy konia do stajni, umyć zęby. Jeżeli koń będzie kulał, należy się zaopatrzyć w nóż. Nożem tym wycinamy leszczynową pałkę długości dwóch metrów, grubszą niż palec. Pałka ta służy następnie do porządnego zbiccia kowala. Jeżeli koń nie przestanie kuleć, należy kupić drugiego konia i drewniany wózek. Wymościliśmy wózek sianem, wsadzamy nań kulawego konia, a zdrowego zaprzęgamy jak należy.

Konopne paździerz nie są wprawdzie jadalne, lecz w oblężeniu zastępują szpinak. Kiedy nie ma nic do jedzenia, a odczuwamy głód, szukamy formierskiej gliny i okularów. Z gliny można utoczyć kielbasę lub szynkę, róż rozbełtujemy w wodzie, a pomalowawszy nim szkła okularów, cienko pokrojoną szynkę kładziemy na talerz. Założywszy okulary na nos, dostrzegamy przed sobą różowitką szynkę, którą ze smakiem pałaszujemy. Kto woli pieczeń, może pomalować okulary na kolor brunatny. W piętnastym stuleciu ulubioną potrawą rycerzy obleganych w twierdzach stanowiły podeszwy z buraczkami. Przed spożyciem obuwie należy natrzeć majerankiem. Wymoczywszy przyszwę we wrzątku, usuwamy kołki. Niejeden żarłok

udławił się nieusunętym kołkiem. Podeszwy podajemy lekko obsmażone, posypane szczypiorkiem. Chcąc sprawić estetyczny efekt, brzeg talerza garnirujemy wylupionymi wrogom oczami. Oczu tych, stanowiących ozdóbki, jeść nie należy. Starożytne książki kucharskie notują ponadto: makaron za sznurowadeł, szelki zapiekane w paście do podłogi, wódkę z terpentyny, tort francuski z natłuszczonej gazety; przysmakiem zaś szczególnym są języki z butów podawane jako ozór cielęcy. Do potraw delikatesowych zaliczamy szczury, kawki, myszy, pluskwy i muchy we własnym sosie.

Pewien pszczelarz pał pluskwy przy przyłądku. Piołun trafiony piorunem gore. Szczupaki zakomunikowały, że w stawie okropny harmider. Gry hazardowe zrujnowały już niejednego chuderlaka i hipopotama. Chrabąszcze są histerykami. Chory hrabia, jedząc hreczaną kaszę, patrzył jak chromi hurmą idą. Wujek Hrabiego rolę hydroplanem orał, a hrabina na huśtawce śpiewała chorał.

Gdy kapitan udusił się kluskami, okręt wpadł na rafę koralową i utonął. Robinson Kruzoe, jedyny ocalały pasażer, dopłynął żabką do brzegu, na którym dostrzegł szczupłą kozę. Zbliżywszy się do kozy, rzekł: „Witam waszmość Panią, zdaje się, że jesteśmy na wyspie bezludnej.” Uniósłszy kaprawe źrenice i beknąwszy, koza klusem oddaliła się w kierunku skalnych rumowisk. „Jakaś małowówna” - pomyślał Robinson. Prąd morski wyrzucał tymczasem na plażę kufarki marynarzy. Przepatrzywszy ten dobytek, Robinson znalazł zatłuszczoną talię kart, worek dukatów, róg z prochem, muszkiet, dwa kandelabry, sztuczną szczękę bosmana, prymkę tytoniu, dratwę, Biblię jako też przygarść selerów. Tymczasem powiała świeża morska bryza. Trup kapitana, majestatycznie opuchły, krążył u brzegu, wywalając na Robinsona szerniały jęzor. Rekiny, spróbowawszy go, wypłuły niestrawne kąski i odpłynęły podrzucane czkawką.

Był sobie raz bawół nakręcany. Miał on lice rumiane, oczy bielmem pokryte, żołądek sześćciościenny z czterema grządkami. Na pierwszej grządce żyła Zazula. Druga grządka była alabastrowym ołtarzem. Będąc w biedzie, bawół wymieniał trzecią grządkę na koguci pióropusz. Powierzchnia grządki czwartej, pokryta rzeżuchą, wyglansowana pokarmem w czasie przeżuwania, była perłowej barwy. Bawół chadzał podkuty, z zieloną pierzyną na głowie, przepasany pasem słuckim. Słyszał tą odzieżą daleko. Indianin z plemienia Apaczów, Spękana Pięta, zaczał się w brzezynie z tomahawkiem i łukiem, wydał bawołowi śmiertelny bój. Zaziębiło się od strzępów pierzyny, zaczerniło od wierzgających pięt

indiańskich, zahuczało, zastukało. Rude mrówki, przybiegłszy na pobojuwisko, oczyściły dokładnie oba kościotrupy, a porozwłóczywszy pas słucki, odeszły przepasane miniaturowymi przepaskami.

Żona pana Ambrożego nadziała ruski pieróg drzazgami i potłuczonym szkłem. Pan Ambroży konał trzy dni. Na pogrzeb przybyło mnóstwo duchowieństwa. Kopiając grób, pomocnik grabarza przeciął łopatą ropuchę. Uznano to za zły znak dla nieboszczyka. Podczas niesienia trumny odpadło wieko i zmarły wpadł do kałuży. Nieutulona w żalu wdowa wytarła go chusteczką. Po przykręceniu wieka śrubami, trumna opuszczona do grobu na sznurach zawadziła końcem o deskę, której kraniec przeciwny wybił proboszczowi jeden kiel, mostek oraz ząb trzonowy. Pod koniec pochówku przybyła na cmentarz policja i wdowa skuta kajdankami odjechała na przesłuchanie.

Wstawały ranne zorze, kiedy naczelnik więzienia przyszedł po panią Ambrożową, ponieważ jej obecność na podwórzu więziennym była konieczna. Świeżo pomalowana szubienica lśniła w promieniach słońca, kat, natłuściwszy stryżek, zapewnił delikwentkę, że wszystko pójdzie jak z płatka. Pomocnicy jego, wyteżywszy siły, wepchnęli babę na miejsce egzekucji. Młodszemu odgryzła kciuk, starszemu zaś naruszyła gałkę oczną. Jeden kat wyszedł z tego cało, jeżeli nie liczyć powieszanej, która w skurczach przedśmiertnych, dyndając, kopnęła jeszcze naczelnika tak, że pogotowie odwiozło go ze wstrząsem mózgu do szpitala. Wieczorem rzekł kat przy kapuśniaku do żony: „Ale ci była dziś egzekucja, wieszałem mężobójczynię i mówię ci, żono, że uśmiełem się jak suseł.”

Pewien misjonarz, wysłany do Sudanu, nawracał tamtejszych Murzynów, lecz znaczna susza wywołała głód, którego ludność nie miała jak zaspokoić. O północy Murzyni bezszelestnie wtargnęli do sadyby misjonarza i jęli go nacierać czosnkiem. Ukróciwszy opór nieszczęsnego, kazali mu zjeść sześć kilo ryżu wymieszanego z rodzynkami, ponieważ misjonarz miał być nadziewany. Nieszczęśnik z niesmakiem patrzył na kulinarne przygotowania. Ogień żwawo buzował, brytfanna wytarta skórką słoniny lśniła jak srebro, a czarny kuchcik z garnuszkiem wody w ręku pokrapiał misjonarza, aby ten się nie przypalił. Cudnie zarumienionego, z trzeszczącą skórką, zapieczono potem w beszamelu. Legenda głosi, że żaden misjonarz jeszcze tak Murzynom nie smakował. Wspominając wieczerzę, wykrzykują: „Jakież to był dobry, delikatny i lekkostrawny człowiek!”

tydzień trzeci

Dziś, stojąc na dziobie, zobaczyłem zwierzę kształtu mrówkojada, które wysunęło długi język i usiłowało polizać nim kawałek drzewa. Poszedłem więc na rufę, ale tam znów roiło się od ostryg. Te ślimaki połkane są żywcem i zdychają oddarte od skorup w ciemnej jamie żołądka. Nikt nie może być od nich bardziej pożarty żywcem i niczego tak się nie boją jak cytryny. Kapitanowi oczy wyszły na wierzch, spurpurowiał, nagle poderwał się, przeleciał w powietrzu parę kroków i opadł.

Jaja kurze można przerobić w kurę, lecz kury nie da się obrócić w jajko. Czym skorupka nasiąknie, tym pupka cuchnie. Ministrant w komży dał w łeb wikaremu w Łomży. Nic tak cietrzewia nie zacietrzewia jak bezkrólewia. Kupiec niewolników, sortując towar, krzepkich mężów przeznaczał do kopalni, niewiasty do kuchni, a młodzież nie znającą ortografii na rozkurz.

Pewien chłopiec, sporządziwszy z porzeczek, drożdży, kości oraz kleju stolarskiego kwas chlebowy, rozlawszy go do butelek, zakorkował. Pierwszego dnia wypił litr kwasu i dostał rżnięcia brzucha, drugiego wypił antałek i biegunka rzucała nim po całym domu. Trzeciego, wypiwszy piętnaście litrów, ze skrzętem kiszek odwieziony na chirurgię, był operowany. Z brzucha jego trysnął w czasie operacji gejzer kwasu chlebowego, który zatopił piwnicę. Wróciwszy do domu, pragnąc okazać mocny charakter, sięgnął po ostatnią butelkę kwasu. Ta atoli, rozsadzona ciśnieniem gazu, spowodowała jego trwałe kalectwo. Odtąd kursuje po mieście w inwalidzkim fotelu na kółkach.

W rzęsim dżdzu przyszedł zezwierzęcony marynarz do masażysty i, opłaciwszy go suto, kazał się od stóp do głów przyozdobić tatuażem. Mistrz przygotował tusze, igły, świdy i zabrał się do rzeczy. Na lewej piersi klienta wykłuł żaglowiec korsarzy w wianuszku rekinów z kapitanem rzepolącym na cytrze. Pepek klienta przerobił w krater wulkanu, na którego stokach pasły się kędzierzawe muflony, pod czujnym okiem pastuszka grającego Kiedy ranne wstają zorze na fujarce. Między łopatkami sporządził Raj nakryty tęczą sięgającą od barku do barku. Środkiem Raju płynęła burzliwa rzeka, której ujście było niewidoczne. Tłumy cherubinów na hulajnogach oraz wiedźm na miotłach krążyły pomiędzy lędźwiami a potylicą klienta. Jego lewą pachę uczynił szmaragdową dżunglą wypchaną rykiem lwów. Prawą obrócił w ogród pełen hiacyntów i lilii, na opuszkach palców klienta wytatuował oczy o

spojrzeniu żegadła. Lewą nogę zamienił w kolumnę dorycką, a z prawej zrobił wieżę Babel. Kazawszy klientowi wywalić język, nadał mu barwę kiru, kształt egipskiego grobowca, a zęby trzonowe pilnikiem wyrzeźbił w figury szachów. Pokratkowane czarno-białe podniebienie stało się szachownicą. Uszom nadał barwę dojrzałej pomarańczy, na powiekach wyhaftował ciotki i wujków. Uczyniwszy z nosa fontannę, kazał zapłacić gotówką, wielce kontent z dokonanego dzieła.

Urzędnik państwowy, który nie bierze łapówek, zapada zwykle na suchoty. Sprzedawcy sklepów uspołecznionych, którzy nie kradną towaru - chudną i dostają gruźlicy. Kto nie ma anioła stróża, może robić, co mu się żywnie podoba. Kiedy diabli strajkują, grzesznicy mają ferie. Krupki rzucone na wrzątek toną, wołając: „Ratunku!” Patrząc zmrużonymi oczyma w oka rosołu, można go zahipnotyzować.

Sinobrody, ożeniwszy się po raz ósmy, zjadł małżonkę z karczochami. Ósma żona została usmażona w oleju. Jej młodszy brat miał z tego tytułu pretensje do wdowca i dał im wyraz, zasadziwszy się na niego z dzirytem. Wplótł brodę Sinobrodego w jego czuprynę, a czuprynę w brodę. Lewe ucho jego pochował na klombie. Z prawego zrobił sobie przycisk do papierów. Rozpuścił wosk w mydle, wydał bańkę mydlaną dużą jak dzwon i, umieściwszy w niej Sinobrodego, puścił go z wichrami, aż ten w powietrzu z głodu zdechł. W srebrzystej bańce mydlanej pędził trup, kołacząc jak ziarnko grochu. Historia ta, pouczająca i prawdziwa, odnosi się do Żonojadów, Sinobrodych oraz tych, co nie znają ortografii.

Pomiędzy cesarzem Etiopii a jego dziewięcioma żonami doszło do scysji małżeńskiej. Cesarz, jęty szalem, wypędził pierwszą żonę, następnie zaś zarządził poszukiwanie nowej. Kupiec, który miał bardzo złą córkę, jakkolwiek urodziwą, wyswatał ją cesarzowi. Zaczawszy w czasie uczyty ślubnej klócić się z całym towarzystwem, cesarzowa pieczenia baranią spoliczkowała wielką księżną. Nie pozostając jej dłużną, księżna półmisek pełen gołąbków wymóźdzonych i słowikami nadziejących wbiła na głowę cesarzowej. Zniesmaczony tym incydentem władca Etiopów obrócił uczytę ślubną w rozwód. Pozostałe żony zatrudniwszy w służbie administracyjnej, dokonał żywota w stanie bezzennym, przez co osierocił tron, lecz zażywał, póki życia, spokoju.

Podczas drugiej wyprawy krzyżowej przywódca jej, hrabia francuski, którego koń poniósł, wzięty został do niewoli przez muzułmanów. Rodzina jego zaproponowała sułtanowi

okup. Za hrabiego przyszło dać tyle złota, ile ważył. Aby uczynić okup większym, sułtan zalecił utuczenie arystokraty przy pomocy śrutu, śrubek ołowianych, jako też piasku. Hrabia, wróciwszy na łono rodziny, przypominał z wyglądu brzemiennego hipopotama. Przepłukany wielokrotnie, powrócił do zdrowia, lecz przepukliny nabytej w niewoli już się nie wyzbył. Był okrutnym zrzędą, widok zaś wszelkich ciężarków przyprawiał go o skurcze przepony jako też drgania pęcherza moczowego. Dla ulżenia sobie zwykł był, chodząc, trzymać się balonu wypełnionego rozgrzanym i przez to rozrzedzonym powietrzem.

Dujawica śniegiem prószyła. Wierchy stały we mgle, halny łamał smreki, jak zwykle zimą w Tatrach. Niedźwiedź, ocknąwszy się w swym barłogu, wystawił głowę na świat boży i chuchnął. Przelatujący opodał orzeł, którego smród w pierś trafił, fajtnął koziołka w powietrzu. Kichnął niedźwiedź i czochrając się o krzesanicę, wspomniawszy miód lipcowy, postanowił coś spożyć. Brnął przez burzę śnieżną, chwytając wiatr w nozdrza, a wyczuwszy woń obiecującą, ruszył kłusem. Jakoż zoczył górala, który wszakże ciupagą dał mu w łeb. Piękny miał góral kozuszek, portki parzenicami haftowane, na nogach zaś cizmy okrutnie twarde, o czym się niedźwiedź rychło przekonał. Ryjąc miękki śnieg pazurami, uciekł jak niepyszny, aby w norze swojej długo łapę ssać i spierzchły nos oblizywać.

W pieczarze wokół ogniska siedzieli jaskiniowcy, zajęci, jak zwykle po obiedzie, różnymi sprawami. Brat siostrę iskał, tłuste wszy ze smakiem łykając. Wujek paluchem nos sobie przeczyszczał, zatkany wrażą juchą, bo w południe krzemienym młotem sąsiada wykończył. Prababka dzika i plugawa kłem mamuta mieszała rosół. Dalsze pociotki wraz z kuzynami żarli się, charcząc i skowycząc, jak zwykle młodzież. Muskularny i włochaty syn pierworodny łowcy mamutów o oczach kaprawych i brodzie tłustej od szpiku, założywszy nogę na nogę, grał na kamiennej mandolinie najnowszy przebój, twardymi jak róg piętami w lubym przeświadczeniu, że nie będzie musiał pisać żadnych dyktatów.

Największymi przyjaciółmi człowieka są owady leśne, biurowe i domowe. Owadem domowym jest mucha z rodziny muchówek, zwierzę rozumne i złośliwe. Owadem biurowym jest pająk, urzędujący przy pomocy sieci, którymi zasnuwa akta. Owadem leśnym jest boża krówka, której kuzynka, pluskwa drzewna, mieszka w malinach, a nadgryziona przez łakomczuchów, wpuszcza im do jamy ustnej cuchnącą część swoich kiszek. Najmędrszym owadem jest atoli pluskwa domowa, zwana spadochroniarzem; kto, śpiąc w mieszkaniu zapluskwionym, wstawia nogi łóżka do pudełek z naftą, może się spodziewać desantu,

ponieważ pluskwy skaczą mu z sufitu na łeb i w ramach krwio pijstwa okrywają jego ciało bąblami. Znacznie głupszy od pluskwy jest komar. Do naszych przyjaciół domowych należą także pchły i wszy, a na południu skorpiony, których ukąszenie powoduje siność twarzy, wytrzeszcz, ślinotok oraz agonię, której towarzyszy przeciągłe charczenie. Jeżeli mimo to nazywamy te błonkoskrzydłe oraz inne stawonogi naszymi druhami, to dlatego, że trzeba nauczyć się żyć z tymi, których nie możemy się pozbyć.

Sublokatozem człowieka, nie urządzającym nigdy awantur, jest tasiemiec. Smutny jest żywot tasiemca. Należy on do istot głuchoniemych i ślepych, czyli jest dożywotnim kaleką. Nie ma także rąk ani nóg i jedynym jego zajęciem jest kąpiel nieustanna w jusze wypełniającej nasze kiszki. Ludzie, jako egoiści, prześladowają i tępią tasiemce, nie zważając na to, że każda istota chce żyć. Nawet honorowi członkowie Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w sposób brzydki i naganny tępią oraz torturują Bogu ducha winne tasiemce próbując się wprowadzić do ich brzucha. Postępowanie to wystawia ponure świadectwo ludzkiej nikczemności, że świecą trzeba szukać osób prawych, które zapraszają tasiemce do siebie, aby zaś sprawić im przyjemność, spożywają łakocie, jako to: żółtko z cukrem, nugat, omlet z konfiturą, kremik oraz jarzębinę z gruszkami w kompocie.

Obrabowawszy bank, zdobyłem środki, dzięki którym mogłem urzeczywistnić marzenia. Nabyłem beczkę z blachy pocynkowanej, stężony kwas siarkowy, opiłków żelaznych, następnie zaś pięćset płaszców ortalionowych, zwój sznura do bielizny oraz kosz trzciniowy. Kwas wlałem do beczki, a z płaszców uszyłem powłokę balonową. Wsypawszy opiłki do beczki, połączyłem ją rękawem z pustą powłoką na strychu. Gdy wodór wypełnił balon, sznurami przywiązałem do niego kosz i, zerwawszy dach, wyfrunąłem w przestwór. Mknąłem sobie pośród chmur, czując się panem niezmiernych przestrzeni, gdy, wskutek tarcia sznura o powłokę, iskra spowodowała wybuch. Na próżno liczyłem na cud. Runąłem na jakiś gruz i upiekłem się żywcem. Obecnie pędzę życie pozagrobowe. Jest ono dość nudne, zważywszy jednak to, że nie pisać klasówek, dość je sobie chwale.

Byłem na przedstawieniu teatralnym, które wstrząsnęło moim jestestwem. Bohaterem sztuki był czeladnik szewski, który na oślepie trudził się przy pociąganiu, ponieważ, choć krótkowzroczny, nie miał na okulary. Życie jego było ciężkie. Kołując podeszwy, wskutek roztrągnięcia łykał niekiedy kołki wpadające mu do płuc; dratwa brudziła mu ręce, a z głodu żywił się smołą szewską. Lewe ucho, za które ciągnął go majster, wydłużyło się i sięgało mu

do pachy. Od przybijania zelówek miał pełno nagniotków, zamiast w telewizor, spoglądał w stopy dziurawych trzewików, marząc daremnie o powrocie za ławę szkolną. Była to mrzonka nieziszczalna. Życzenia takie, wypowiedane w skrusze, nie urzeczywistniają się, niestety.

Nauczyciel, zorganizowawszy majówkę, kazał uczniom przynieść wędki i siatki na motyle. Jurek, zrozumiawszy opacznie polecenie nauczyciela, zamiast wędki wziął łom, a zamiast siatki siekiere. Gdy więc przyszło do łapania owadów, Jurek, uganiający się za motylami z siekierą, napotkał duże trudności i poślizgnąwszy się na szyszce, uderzył się obuchem w czoło. Ponieważ jednak był grubokościsty i miał wodogłowie, uderzenie to wywołało jedynie lekki chlupot. Nauczyciel nakazał, aby Jurek przyniósł do szkoły chociaż jedną ćmę albo porządnego motyla. Jurek zasadził się przy drewni na ćmy, wabiąc je latarką, próbował strzelać do nich z łuku, z dubeltówki, obrzucał je granatami, lecz czynił to nieopatrnie i z łowów tych wyszedł inwalidą. Nauczyciel powiedział, że wychował już całe rzesze młodocianych idiotów, lecz żaden z nich nie równa się Jurkowi. Jurek, silnie urażony na honorze, postanowił zemścić się na wychowawcy. Zrazu chciał podrzucić mu rumiane jabłko z wstrzykniętą do środka trucizną, lecz nie miał strzykawki. Nabył więc pudełko czekoladek, zżarł wszystkie, ukradł babci pięćdziesiąt złotych i kupiwszy za nie zapalek, z główek ich uczynił ładunek bomby zegarowej. Budzik włożony do pudełka spowodował wybuch, który jednak oszczędził nauczyciela. W szale zemsty Jurek czatował z łomem w bramie nocą i zamachnął się na wychodzącego, ale że był to niezgrabiasz, stuknął się znów w czaszkę, która tym razem nie wytrzymała.

Niegrzeczny chłopczyk, któremu rodzice surowo zakazywali kumania się z chuliganami, sprzedał broszkę mamy i pieniądze przepuścił na wódkę. Wróciwszy z izby wytrzeźwień, został surowo skarcony, rozbił więc skarbonkę w mózdzierzu i upił się z rozpaczy. Zabroniono mu oglądać telewizję. Rozłupał wówczas biurko ojca i wydał ściągniętą forszę w złym towarzystwie. Ponieważ bał się wracać do domu, udał się na przejażdżkę cudzym motocyklem. Na przejściu dla pieszych potrafił na wpół sparaliżowaną staruszkę, lecz zamiast pośpieszyć jej z pomocą, czmychnął z jej torebką. Dzięki gotówce kupił benzynę i pojechał w Bieszczady. Tam pod wpływem wyrzutów sumienia wstąpił do partii i rychło został wiceministrem. Dawał surowe rozporządzenia, a zwłaszcza nasyłał inspekcje ojcu, którego wsadził w końcu za łapówkarstwo. Dzięki tak bezkompromisowej postawie zaszedłby daleko, lecz służbowym samochodem zleciał z mostu do Wisły i za zasługi został pogrzebany na koszt państwa.

Zgodnie z nową ustawą wydań a przez ministerstwo oświaty, zamiast złych stopni za błędy ortograficzne, młodzież szkolna będzie kierowana do obozów koncentracyjnych. Tam odbywać się będą specjalne obostrzone dyktaty o chlebie i wodzie. Słówka błędnie wypisane będzie się młodzieży wypalać na czole białym żelazem. W departamencie rozważano ewentualność wieszania recydywistów, na razie jednak od koncepcji tej odstąpiono. Komendant obozu będzie dysponował bogatym repertuarem kar: włosiennicą, madejowym łożem, hufnalami do podkuwania, a także wygłodzonymi lwami, które zgodnie z zarządzeniem ministra będą niepoprawnym wyrywały nogi z miejsca, w którym plecy tracą swoją szlachetną nazwę. Przewiduje się uwięzienie do lat czterdziestu. Po odsiadce wypuszczony będzie mógł zdawać maturę.

Żeglarstwem interesuję się od dziecka. Bierze się to stąd, że gdy miałem dwa lata, zabrała mnie powódź w kołysce. Cierpiałem głód, lecz zaby dzieliły się ze mną każdą padliną, a gdy wróciłem do domu, wymyśliłem naukę o pływaniu w cebrze. Stąd pochodzi cybernetyka. Jako masztu używałem tyczki, a jako żagla prześcieradła. Następnie przesiadłem się z cebra na szafę, którą przerobiłem w szalupę. Pływam zwykle z miechem kowalskim, który przeciwdziała ciszy morskiej. Na wodzie żywię się zwykle tym co ukradnę w przybrzeżnych miasteczkach nocą. Żab nie jem ze względu na sentyment, jaki dla nich żywię. Od czasu do czasu dostaję jakiś wyrok i muszę wtedy porzucić żeglugę. Wróciwszy z kryminału na pokład, odcumowuję i wypływam w siną dal.

Mając lat sześć, wpadłem pod pociąg. Lokomotywa, zgruchotawszy mi zęby mleczne, wykoleiła się. Rodzice moi musieli zapłacić kolei duże odszkodowanie. Dorósłszy, postanowiłem się zemścić na kolejnictwie. Odtąd jeżdżę zwykle pociągiem z żyłką i workiem cementu. Drę siedzenia w przedziałach, cementuję klozety w wagonach, a gdy nadarzy się okazja, zamieniam w wagonie restauracyjnym cukier na cement. Szczególnie napastuję i dręcę lokomotywy, robię im dziurki w kotle, sianem wypycham palaczy, do węgla podrzucam granaty uciulane w czasie wojny. Nocami rozkręcam tory kolejowe, a gdy pociąg leci w przepaść, wydaję okrzyki triumfu. Niestety, zgubił mnie sok. Nie soczek, lecz Straż Ochrony Kolei. Więzienie, w którym obecnie przebywam, należy do najcięższych. Naczelnik dyktuje mi codziennie hasła: „Brzydko jest wyrywać lokomotywowm tłoki” i inne tego rodzaju, które przepisuję na czysto. Obmyśliłem nowe sposoby torturowania kolei, które wprowadzę w życie za dwa lata, gdy wyjdę na wolność. Jest to moją słodką tajemnicą.

Drzyjcie dyżurni ruchu, konduktorzy i kontrolerzy.

tydzień czwarty

Pałac w piecu, używa się na podpałkę prasy. Najlepiej pali się „Trybuna Ludu”. Centralne ogrzewanie pozwala uprościć procedurę, wystarczy bowiem nalać na paleniska eteru i strzelić z bębnowca do popielnika, a płomień buchnie aż miło. Także burze ułatwiają rozpałkę, ponieważ pioruny mają wysoką temperaturę i podpalają wszystko w mgnieniu oka. Słyszałem, że w Indiach rozpalano dawniej w piecach wdowami. Nie wydaje mi się to praktyczne. Mam zamiar przeprowadzić się do Konga ze względu na tamtejsze upały, które palenie w piecu czynią zbędnym, co dla mnie o tyle ważne, że jestem jednym z najwybitniejszych leniuchów świata.

Pewien zakatarzony Tatar, natarłszy sobie piętę w czasie jazdy konnej, zamienił psa wyżła na beczkę ogórków kwaśnych. Następnie przeszedł na mahometanizm, czyli sturczył się, liczył bowiem na zasiłki z kasy sułtańskiej. Był nieostrożny, bo nic nie zyskał, a nawet pogorszyło mu się. Jak wiadomo, Turek im bogatszy, tym więcej ma żon. Pragnąc uchodzić za krezusa, zakatarzony poturczeniec ożenił się dziewiętnaście razy pod rząd. W związku z wydatkami na utrzymanie haremu zbankrutował i uciekł morzem na Cypr. Należy z tego wysnuć wniosek, że rozwody w Turcji są niezwykle wprost kosztowne.

Zamiarem mym jest zostać spadkobiercą niezwykle zamożnego cudzoziemca, najlepiej milionera. Objąwszy spadek, zamierzam porzucić szkołę i rozpocząć podróż dookoła świata. Wstawać będę na pokładzie mego okrętu w południe. Będę wiozł z sobą dużą ilość podręczników szkolnych, a specjalny marynarz będzie je na moich oczach rwał na drobne kawałki. Mam zamiar pędzić życie w sposób wykwintny i wyrafinowany. Przy stole moim w czasie biesiad nikomu nie będzie wolno wspominać o pisowni. Przy pomocy łapówek, jeśli przyjdzie mi taka fantazja, zmienię program oświaty. Każdy uczeń będzie mógł wedle woli pisać jak mu się żywnie podoba albo nie pisać wcale. Nie będę obcinał paznokci, mył szyi, nóg ani rąk i nigdy nie pójdę do fryzjera. Aby nie śmierdzieć, będę się polewał francuskimi perfumami. Połowę załogi mego statku stanowić będą kucharze. Za źle ugotowany obiad będę chłostał i wieszał. W ten sposób pożytecznie i przyjemnie spędzę długie lata, nic nie robiąc i mam nadzieję, że już niedługo otrzymam wiadomość o spadku.

Mając lat szesnaście, znalazłem w gazecie ogłoszenie pewnego czarnoksiężnika, który dla córki swojej szukał męża. Kandydat musiał się odznaczać niezwykle rozumem i urodą.

Pojawszy, że do wymagań tych pasuję jak ulał, zwróciłem się pod wskazany adres. Nazajutrz ósemką udałem się do lazurowego pałacu, od razu przykro wzruszony widokiem licznych młodych nieboszczyków ukraszających ogród. Czarnoksiężnik z uprzejmym uśmiechem wyjawiał mi, że byli to konkurenci do ręki jego córki. Nie zniechęciwszy się, zażądałem pokazania córki oraz wglądu w wysokość posagu. Córka była urodziwa, posag zaś stanowiła olbrzymia kupa dolarów przepięknej zielonej barwy. Czarownik dał mi karteluszek z zadaniem, które miałem rozwiązać. Musiałem jeszcze zasiąść w poczekalni, ponieważ przybyły przede mną konkurent był w toku próby. Czekałem trzy kwadranse i w czasie tym z właściwym mi rozsądkiem uznałem, że córka czarnoksiężnika ze względu na pochodzenie społeczne może mi utrudnić karierę. Oddaliłem się przeto i nie wiem nawet, czy mój poprzednik wzbogacił kolekcję umarlaków.

Przez całą młodość doilem, jako syn biedniaka, bogatego wuja. Co się tyczy kóz i krów, zastosowawszy metodę radziecką, doprowadziłem je do tego, że doiły się same. Krowy, karmione neską, a stale dręczone pragnieniem, produkowały zagęszczone mleko z kawą. Udało mi się przerobić kozie bobki na pralinki. Uczyniłem to tak: dawałem kozom suszone śliwki, wanilię i cukier - powstawały śliwki w czekoladzie, których co prawda nie spożywałem, gdyż nie lubię słodczy. Co się tyczy likierów, to dawałem krowom kminek, skórkę cytrynową, lukier jako też bimber. Były pijaniuteńkie, udój zaś, po przefiltrowaniu, jako likier ziołowy sprzedawałem wujowi. Niewątpliwie zrobiłbym na tym majątek, gdyby nie interwencja władzy ludowej. Wprowadzona przez nią receptura obróciła kawę w lurę, czekoladki zaś straciły nabywców, podjeżdżały bowiem gnojem. Przerzuciłem się przeto na inne interesy. Oszukuję, kradnę, kłamię, cudzołożę, dzięki czemu doszedłem najwyższych godności państwowych.

Pewien maharadża miał ukochanego słonia, któremu zepsuł się ząb pospolicie kłem zwany. Maharadża, wezwawszy dentystę, polecił mu zaplombować kieł. Niestety, słoń nie uszanował lekarza i zrobił zeń placek. Zgnębiony maharadża rozpiął przeto konkurs na wyleczenie słonia; przez trzy lata padło dentystów jak maku. Dopiero pewien mędrzec hinduski wziął się jak należy do rzeczy, wprowadziwszy słonia w opilstwo. Nasenne zioła domieszane do używek zamroczyły słonia, któremu obcęgami, kieratem, hakiem, włókiem oraz blokiem usunięto kieł spróchniały. Kieł ów oprawny w złoto obejrzyć można w pałacu maharadży, mogiły zaś ośmiuset dentystów, zgasyłych przedwcześnie, kryje ogród pałacowy w cieniu olch i wiązów.

Pewien pies o przezwisku „Piorun” posiadał ponad pięćset pcheł. Próbował pozbyć się pasażerów pławieniem, potrząsaniem pischzelami, podskakiwaniem. Potem postanowił potruć pasożyty. Pojadłszy piołunu, papryki, porzeczek, papki piaskowej przeczekał poniedziałek, poczem poprosił piskorza przedwcześnie posiwiąłego o pomoc. Piskorz, przekupiony przez pchły, podle porzucił psi proces. Pies popieprzył pluskwy, poczem pomógł im powypychać pchły na pustkowie.

Łotr pewien, uwiódłszy dziewicę, pozostawił ją z bliźniętami i zbiegł. Płacząc rzewnie, nieszczęsna goniła go, aż poodpadały kółka wózka dziecięcego. Maleństwa dostały biegunki, uwiedziona wyrzutów skórnych, uwodziciel zaś wyrzutów sumienia. Cały pokąsany, nie mogąc sprostać hańbie inaczej, ożenił się bogato na innym kontynencie i zużył cały posąg, aby utopić robaka. Został nałogowcem, lecz robak nie utonął, przerzucił się na wędkarstwo i rybołówstwo. Odtąd pędzi samotny żywot na łowiskach pstrągów, sumów i leszczy, nie rozstaje się z kołowrotkiem, haczykami, patelnią i nożyczkami do strzyżenia wąsów. Ostatnio złowił szczupaka, wraziwszy mu palec w paszczę, ponieważ akurat był bez wędki.

Wokół bieguna południowego panuje mróz tak dojmujący, że każdy, kto oddaje mocz na świeżym powietrzu, przymarza do ziemi. Pingwiny przystosowane do tych surowych warunków nie marzną w uszy, ponieważ ich nie mają. W czasie największych mrozów i zawieruchy pingwiny skupiają się w wielkie gromady, a te, które znajdują się na obwodzie, zmarzłszy, urządzają awantury i nazywające, które siedzą w środku burzujami. Na biegunie południowym temperatura spada w lutym do osiemdziesięciu stopni poniżej zera. Uczeni, którzy muszą wykonywać obserwacje naukowe, noszą odzież składającą się z futrzanych gaci, futrzanych koszul oraz kurtek i spodni podwójnych, wypełnionych puchem grenlandzkiej kaczki. Używają futrzanych masek z dziurkami na oczy i wpuszczają sobie za kołnierz rozżarzone węgielki. Odmrożonych ratuje się, dając im pić spirytus i każąc im chuchać na świecę. Powoduje to wybuchy, które działają uzdrowieńczo na odmrożenia. Jednakże zdarzało się, że osoby silnie ostudzone i przemarznięte, w ciepłe ronily małżowiny uszne, nosy, ręce, nogi i całą resztę.

W cyrku pokazywano parę osłów, która wystukiwała podkutymi kopytami odpowiedzi na pytania zadawane przez publiczność, wyrażając się rozsądnie i z wdziękiem. Osły te o

pięknych grzywach i rozumnie lśniących oczach, bardzo rzadko popełniają błędy i stanowią tym samym przykład dla młodzieży szkolnej. Umieją one jeździć na rowerze, zastrugać ołówki, zaśpiewać arię operową, podkuwać się, wysnuwać logiczne wnioski z przesłanek oraz tańczyć, splócić ogony. Te kulturalne osły cieszą się powszechnym uznaniem, a publiczność, która każe im wykonywać trudne sztuki, darzy je potem wiazankami kwieciami i bombonierkami czekoladek. Wychów takich osłów jest specjalnością treserów cyrkowych, których w przyszłości zaangażuje kuratorium jako poskramiaczy leniwej młodzieży szkolnej.

Ku czci Pierwszego Maja zobowiązałem się wraz z kolegami zrobić w czynie społecznym podkop pod bank. Wyposażywszy się w żelazne łomy oraz oskardy i włazłszy nocą do Barbakanu, jeliśmy kopać tunel należycie zamaskowany. Trudziliśmy się tak przez cały kwiecień, aż dotarliśmy do podziemnego skarbcza. Zastosowawszy należyte środki ostrożności, wykuliśmy dziurę w betonie i, owinąwszy nogi watą, rzuciliśmy się na rabunek dóbr pieniężnych. Niestety, skarbiec zawierał wyłącznie walutę krajową oraz resztki wysuszone urzędniczych śniadań jako też mysie łajno w olbrzymiej ilości. Zawiódłszy się tak srodze, zabraliśmy z braku czegoś lepszego osiemset tysięcy złotych, jak również stempli skarbowych, wiele się udźwignęło. Zamiarem naszym było prowadzić życie rozpustnych rozrzutników w lokalach i hotelach najwyższej kategorii, lecz ponura rzeczywistość wydrwiła te marzenia. Z walutą krajową, jakkolwiek w ogromnej ilości, wyrzucano nas zewsząd. Próżno żądaliśmy ksiązek zażaleń i domagaliśmy się równouprawnienia z cudzoziemcami. Zmuszeni byliśmy strwonić zrabowane tysiące na kaszę jaglaną, zjełczałą margarynę, paczkowany makaron jako też krajowe alkohole. W związku z tym ślubowaliśmy powrót na drogę cnoty.

W czwartej klasie miałem trzy kochanki, które kosztowały mnie majątek. Powszechnie wiadomo, że podrywanie dziewcząt jest pracochłonne i kosztowne. Wymagania ich nie sięgają wprawdzie podróży morskich ani francuskich perfum, lecz i tak trzeba im z wyteżeniem dogadzać. Próżno szukałem jakiejś młynarzówny lub zamożnej córki badylarza w nadziei zostania utrzymankiem zasobnego dziewczęcia. Albo zamożni ludzie nie mają córek, albo same brzydkie. Fatalne to zrządzenie losu opustoszyło mą kieszeń, zamuliło serce i wyjałowiło duszę. W epoce równouprawnienia należy oczekiwać mnóstwa dziewcząt posażnych, ponieważ niesprawiedliwe jest; aby trudny zawód podrywacza kojarzył się niekorzystnie z uszczerbkiem finansowym.